

BEZDOMNY PIES



Jestem obywatelem świata.

Diogenes

TEKST I FOTO: MARCIN PINIAK

Mało jest idei pod którymi można się podpisać. Zawsze zawarty jest w nich ten onieśmielający poziom abstrakcjonizmu, który choć dobrze brzmi, w praktyce jednak rzadko wytrzymuje napór tzw. „twardych faktów”. Szczególnie widać to we wszystkich artystycznych i politycznych manifestach, które w swej pierwszej „złotej fazie” urzekły odwieczną obietnicą by w sposób niebłagalny skonać w akcie kompromitacji przygnięcione nową ideą i „stylem postrzegania” oraz własną stopniową degradacją. Jednak idea kosmopolityzmu nie jest nowa, ponieważ moim zdaniem stanowi bardziej „jakość umysłu” niż jego koncept. Otwartość nie może być kalkulacją, przestrzeń nie ma granic w przeciwieństwie do intelektu, który wcześniej czy później trafi na pole własnego ograniczenia w obrębie swojego dusznego imperium. Świat w którym żyjemy bez wątpienia jest odzwierciedleniem naszych ograniczeń – strukturą „dziel i rządź”, dogorywającym Produktem Wtórnym, który swoją tandetą wskazuje naszą nędzę. Wzór jest odzwierciedleniem. Od wirusa komórki po wirus państwa, od infekcji po wojnę. Nie wierzę w Państwo. Nie mam flagi. Moim hymnem jest puls tętna. To język wszechświata. Pierwotny punkt bez fleksji i zasad gramatyki.

Jednak póki co – daleko nam do proklamowania kosmicznej konstytucji, a wolny wydaje się być jedynie kapitał garniturowych Mutantów i Władców chińskich taśm produkcyjnych. Pozostają „tymczasowe strefy autonomiczne” i konsolidacja prawd i idei w dźwięku, słowie i obrazie na pohybel stadnej automatyki obywatelskiej.



A tam, w górze, było sobie niebo, całe upstrzone gwiazdami; kładliśmy się na plecach i gapili na nie, dziwiąc się, czy ktoś je stworzył, czy też są tam przypadkiem.

Mark Twain

Akty fundamentalnego zdziwienia, że teraz, że tutaj, że w ten sposób – zastygłe scenariusze, ciasne korytarze, umowy ustne i pisemne. Wielka fala zwyczaju, konwenansu, nudny nurt banału zmywający naszą twarz kolejnego dnia. Zasysający wszechogarniający Niebyt – cyniczny, zblazowany rozglądający się na boki wiecznie kpiący homo idealny produkt masowy żywiony, ubierany i zaspokajany w zgodzie z najnowszym trendem i symulacją zysków. Alternatywa jako Rynek – Rewolucja jako Produkt. Ucieczka staje się zorganizowaną wycieczką z hotelami i klubami go go. Gdzie jest Azyl? W nowej grupie członków? W stowarzyszeniu, zrzeszeniu adoracji, konfrontacji? W myślo - bycie? Czy aby Azyl nie jest jedynie toksycznym abstraktem zrodzonym z szaleństwa bycia w sobie (chciałoby się napisać – bycia sobą), kryzysem umownej wiary?

Rozebrać siebie – warstwa po warstwie, pokłady sentymentalnych odleżyn, osocze miążkich hipotez, stupy samozadowoleń, by w końcu wkuć się w jądro – roztrzęsione dziecko – hybrydę, samo podważający się byt, który swoim płaczem, zawodzeniem z taką determinacją pragnie zwrócić uwagę. Potwierdzić istnienie. Bezdomny pies wyje w gwieździstą noc. Te pieśni przeszywają na wskroś. Tęsknota jest jak nowo – twór.

Nowo – twór mózgu zrobotyzowanego mutantu biegającego w amoku na kuli ziemskiej - odrutowanej matce, dogorywającej jak zarzynana świnia podczas rytualnego uboju nad białą posadzką spekulacyjnych giełd i rynków, spektakularny medialny samogwałt.

Kilka toksycznych idei, absurdów rozsiewanych w akcie desperacji w Nowym Jorku, Łodzi, Toronto, Limie gdziekolwiek... Bezdomne psy zrywają łańcuchy, szczają na gazety, srają na Ministerstwo i wyją na Urząd. Na tajnych spotkaniach oglądają gwiazdy i czytają fantastykę, kiwając łbami w takt skundlonej muzyki. Rozkoszują się utopiami jak rozszarpaną wątrobą. Nie ma nic do zyskania. Nic do stracenia. Pozostaje obgryzanie kości chorego społeczeństwa.

Ślina ścieka z pyska.

